



INNE SPORTY

W ślady Hurkacza. Majchrzak wreszcie idzie w górę

Długo nie mógł udowodnić wszystkim, że jest w stanie zrealizować swój potencjał. Przegrywał ze słabszymi rywalami, miewał problemy ze zdrowiem, brakowało pieniędzy. W ostatnich miesiącach wszystko się jednak odmieniło. Najpierw zagrał fantastyczny mecz z Keiem Nishikorim w Australian Open, a potem poszedł za ciosem i niedawno wygrał pierwszy turniej rangi Challenger w karierze. Kamil Majchrzak zbliżył się też do najlepszej setki rankingu ATP. Prześledźmy jego drogę.

Talent

Tenisową przygodę rozpoczął, gdy miał osiem lat. Stosunkowo późno, bo zwykle ci, których znamy potem z czołowych miejsc w rankingu, rakietę chwytają w wieku trzech-czterech lat. Kamil poszedł na kort, bo jako dziecko rozmawiał z rodzicami o tym, jaką pasję powinien sobie znaleźć. I spodobał mu się tenis, choć na całego wkręcił się dopiero... po wygraniu pierwszego turnieju. Podobno też, gdy po raz pierwszy grał, był „grubaskiem”, jak sam to określił, a dopiero potem doszedł do bardziej sportowej sylwetki. Po trzech latach od rozpoczęcia przygody z tenisem, trafił pod skrzydła trenera Macieja Wściubiaka, który trenował go aż do osiągnięcia przez Majchrzaka pełnoletniości. Wcześniej był podopiecznym Wiesława Kozicy – to on jako pierwszy rozwijał talent Kamila.



- Na trening przyprawdzili go rodzice. Kamil nie był wówczas w czołówce tenisowych rankingów, przegrał mistrzostwa województwa. Od początku był też pracowity i sumienny, dzięki czemu szybko przyswajał wiedzę. Na każdym treningu dawał z siebie sto procent, dlatego tak szybko robił postępy. Ma talent manualny i od zawsze wydawał się dojrzały. Już w wieku 13 lat wiedział, co chce osiągnąć, i do tego dążył - wspominał w rozmowie z portalem lodz.sport.pl trener Wściubiak.

Podobno od początku imponował backhand Majchrzaka. Ten sam, którym i dziś potrafi postraszyć naprawdę dobrych tenisistów. To było u niego naturalne zagranie, co ciekawe jest o tyle, że - w teorii - powinno być znacznie trudniejsze do wyćwiczenia. Nie miał też problemów ze stroną mentalną, psychicznie mocny był zawsze. Wraz z trenerem Wściubiakiem rozwijali jego tenis w stronę wszechstronności, chcieli, by potrafił zagrać z każdym rywalem i na każdy sposób.

To przynosiło efekty w juniorskich turniejach, a do Kamila szybko przylgnęła łąka dużego talentu. Nic zresztą dziwnego, prezentował się tak dobrze, że gdy pierwszy raz wygrał mistrzostwa Polski w swojej kategorii wiekowej, to cieszyła się jego mama, a on uznał to za coś oczywistego. Po prostu był faworytem, wygrał i tyle. Świetne rezultaty odnosił też na arenie międzynarodowej - zdobywał medale mistrzostw Europy do lat 14, 16 i w kategorii juniorskiej. Zarówno w deblu, jak i w singlu. Naprawdę usprawiedliwione były komentarze, że „z tego chłopaka wyrośnie znakomity tenisista”.

Wielkiego kopa dały mu zawody z cyklu Tennis Europe (kategoria do 14 lat), gdy - po przejściu eliminacji - dotarł aż do finału. Później wspominał, że nabrał dzięki nim pewności siebie i uwierzył, że tenis może być jego sposobem na życie. Tym bardziej, że za jednym osiągnięciem poszły też kolejne, choćby awans do najlepszej „10” juniorskiego rankingu.

A mogło być inaczej, bo Kamil utalentowany był w wielu dyscyplinach. Lubił siatkówkę, nieco nawet grał, ale jego 183 centymetry wzrostu to - poza pozycją libero - nieco za mało. Nieźle radził sobie też w kosza, w wieku 13 lat zdobywał nawet mistrzostwo województwa, ostatecznie zrezygnował jednak z basketu na rzecz tenisa. A po drodze naprawdę wiele rzeczy mogło zniechęcić go do uprawiania „białego sportu”. Ot, choćby infrastruktura. Tak odpowiadał „Dziennikowi Bałtyckiemu” na pytanie czy trenuje po szopach:

- Teraz już nie, ale za młodu, jak jeszcze mieszkalem w Piotrkowie Trybunalski, a zanim kupiono balon, jakieś 2-3 lata temu, to musiałem albo jeździć do Pabianic, by grać w salach gimnastycznych szkół podstawowych, albo jeździłem też do okolicznych wsi na sale. Zimą bywało ciężko, ale latem już OK. Mieliśmy odkryte korty. [...] Musiałem dostosować się do pewnych godzin i na przykład jechać wieczorem, żeby zacząć trening o godz. 20-21. Trenować, wrócić do domu, a z rana do szkoły. I tak dzień w dzień. To było uciążliwe. Ale jak już powstał w Piotrkowie balon, to można było normalnie trenować.

Problemem były też pieniądze, początkowo za wszystko płacili rodzice, a Kamil szybko zaczął wyjeżdżać na zagraniczne turnieje. Nie było łatwo, bo ciągnęło się to mniej więcej do 17. urodzin Majchrzaka. Wtedy na całego włączył się Polski Związek Tenisowy (który wcześniej też finansował Kamilowi kilka wyjazdów, ale nie była to pomoc regularna). Warto zadać sobie jednak pytanie: co przekonało PZT do tego, by w Majchrzaka zainwestować?

Sukces

Juniorskie US Open, ostatni szlem roku. A rok był 2013. Kamil Majchrzak miał 17 lat, a Martin Redlicki kilka dni przed turniejem stał się pełnoletni. Obaj wspólnie stanęli do rywalizacji w turnieju debla. Poznali się kilka miesięcy wcześniej, w trakcie turnieju w Mediolanie. Kamil zapytał Martina czy ten umie mówić po polsku (Redlicki ma polskie korzenie). Umiał, obaj nawiązali kontakt. Dwa miesiące przed US Open ustalili – przez Facebooka – że w turnieju wystartują razem. Efekt przeszedł ich oczekiwania, bo po dwóch tygodniach od startu amerykańskiego szlema mogli mówić o sobie per „mistrzowie wielkoszlemowi”.

– Cały czas dopiero do mnie dociera, co tak naprawdę zrobiliśmy. Mam wrażenie, jakbym za chwilę miał się obudzić... i myślę, że nie ma skali, która mogłaby opisać, jak bardzo jestem szczęśliwy po tym turnieju. Nie byliśmy zaliczani do grona faworytów. [...] Można powiedzieć, że mieliśmy pecha w losowaniu, bo już w pierwszym meczu musieliśmy zmierzyć się z pierwszymi rozstawionymi. Wygraliśmy. [...] Presja z meczu na mecz była coraz większa. W tym finałowym najważniejsze było to, że udało nam się opanować emocje. Wykorzystaliśmy każdą okazję, którą mieliśmy, a sami rywalom takich okazji nie daliśmy – wspominał w rozmowie z portalem Nasze Miasto.

Kilka miesięcy później poleciał do Australii. Na wózku inwalidzkim. Dwa dni przed wylotem skręcił kostkę na treningu. Spędził przez to Sylwestra na kanapie i rozważał, czy w Melbourne w ogóle się pojawić. Zdecydował, że tak. Cała ta operacja wymagała jednak jak najlepszego zabezpieczenia kontuzjowanej nogi. Więc usiadł na wózek i tak się przemieszczał, przy okazji omijając na lotnisku wszystkie kolejki. W turnieju poprzedzającym szlema rozegrał jeden mecz, przegrany. Ale w Melbourne zaprezentował się znacznie lepiej. Dotarł tam do ćwierćfinału w singlu i półfinału w deblu, niejako kładąc podwaliny pod swój największy sukces juniorski.

Ten przyszedł na młodzieżowych igrzyskach olimpijskich. To ta sama impreza, w trakcie której niedawno o medale walczyła Iga Świątek. Dla Majchrzaka był to ostatni start w juniorach, zakończenie tego etapu w życiu. I lepszego nie mógł sobie wymarzyć. Z chińskiego Nankin wrócił z dwoma medalami – z miksta przywiózł brąz, a w singlu zdobył złoto. Nie przeszkodziło mu w tym ani nagromadzenie spotkań (grał we wszystkich trzech konkurencjach), ani warunki – ponad 30 stopni Celsjusza i wysoka wilgotność to w tamtym regionie norma. Wrażenia nie zrobiła na nim też publika, która w finale zdecydowanie bardziej wspierała Brazylijczyka Orlando Luza, wówczas trzeciego na świecie w juniorskim rankingu (a wcześniej ograł też światową „1”).

– Zdobyte w Nankin złoto będę miał ze sobą cały czas. Teraz prawdopodobnie każdego wieczora, gdy będę miał wolną chwilę, będę mógł sobie powiedzieć “Niesamowite, zrobiłem to, mam złoty medal!”. Jestem przepelniony radością. Dalej nie mogę uwierzyć w to, co dzisiaj się stało na korcie. Szczerze mówiąc przed turniejem nie zakładałem, że mogę wygrać. Myślałem, że uda się zdobyć medal. Gdybym zdobył brąz byłbym najszczęśliwszym chłopakiem na świecie. Teraz powoli ten złoty krążek na szyi zaczyna do mnie docierać – komentował sukces na łamach portalu tenis.net.pl.

Jak napisaliśmy – to było dla niego pożegnanie z juniorską karierą. A przejście do seniorów nie było tak łatwe, jak oczekiwało tego wielu.

Problemy

Owszem, wejście do zawodowego tenisa miał naprawdę solidne. Bo już w 2014 roku startował w takich turniejach, łącząc to z grą w juniorach. I szło mu naprawdę dobrze, przeskoczył o ponad 800 miejsc w rankingu. Po drodze wygrał kilka turniejów rangi Futures, tenisowej trzeciej ligi – po ATP i Challengerach. Sam mówił, że nawet o takich wynikach nie marzył, choć przed sezonem twierdził, że celem jest pierwsza „500” rankingu. I to się udało, na koniec roku był o kilkadziesiąt pozycji wyżej.

Na kolejny sezon poprzeczkę zawieszał sobie na wysokości 250. miejsca. Poza tym chciał wygrać z tenisistą z pierwszej setki rankingu. Ale tych celów nie udało się zrealizować, choć w pewnym momencie był bardzo blisko założonej pozycji (wygrał za to z dwoma zawodnikami z pierwszej setki, choć jednego z nich oskarżono potem o... ustawienie tego spotkania). Męczyły go kontuzje, przegrywał wygrane mecze, brakowało pieniędzy na wyjazdy. Do tego początkowo wyjazdy łączył z nauką. I choć uczył się w Sopockiej Akademii Tenisowej, na zasadach e-learningu, to zdawanie matury w pierwszym roku seniorskiego grania nie jest łatwe.

Ale udało mu się. Gorzej było jednak z egzaminem dorosłości w tenisie. Niby potrafił wygrywać z lepszymi tenisistami, niby debiutował w Pucharze Davisa, a z czasem został nawet – na chwilę, bo potem tę rolę przejął Hubert Hurkacz – liderem kadry, niby był najlepszym Polakiem w rankingu ATP, niby wygrywał turnieje rangi Futures, a w Challengerach dochodził do półfinałów czy finałów... ale wciąż czegoś brakowało.

I tak było przez kolejnych kilka sezonów. Cel był wyznaczony wysoko, Kamil kończył niżej. Często jego plan brał w łeb, gdy wylatywał na kilka miesięcy z kontuzją. Albo na kilka tygodni, ale trzy lub cztery razy w roku. Sam mówił, że to zaległości z pierwszych lat jego kariery, gdy odpowiednio nie popracował nad tężyzną fizyczną. Ciało odmawiało posłuszeństwa.

– Często kiedy łapałem dobrą formę, to pojawiały się problemy zdrowotne. Zdarzało się, że poleciałem na turniej i skręciłem kostkę lub bolało mnie kolano. Przydarzyło mi się też kilka błędnych decyzji dotyczących wyboru turniejów oraz ich rozgrywania. Za szybko wracałem na kort. Wszystko sprowadza się do tego, że brakowało pieniędzy. Nie mogłem polecieć wszędzie tam, gdzie chciałem. Nie mamy tak lekko jak koledzy z Zachodu – mówił TVP. Dodawał też, że brak w Polsce turniejów wyższej rangi, na której mogliby się ogrywać nasi tenisiści i korzystać z dzikich kart.

Kiedy jego obecny trener Tomasz Iwański zaczynał z nim współpracę, powiedział, że Kamil funkcjonuje w „polskim burdelu”. Na myśli miał m.in. to, że Majchrzak – by mieć pieniądze – latał do Włoch na mecze ligowe, między turniejami, w których mógłby zdobywać punkty. To wszystko się na siebie nakładało. Nie miał pieniędzy, więc musiał latać do Włoch. Latał do Włoch, więc nie zdobywał punktów. Nie zdobywał punktów, więc nie podskakiwał w rankingu. Nie podskakiwał w rankingu, więc nie miał pieniędzy. I tak dalej, i tak dalej.

– Kamil w tamtym okresie nie raz pokazywał, że jest w stanie rywalizować z najlepszymi – o czym świadczyły przykładowo mecze z takimi zawodnikami jak Pablo Carreno Busta, Florian Mayer, Damir Dzumhur czy Gerald Melzer. Przytrafiały się porażki ze słabszymi przeciwnikami i to główna przyczyna tego, że ten ranking stał w miejscu przez dłuższy czas, ale na to wpływało sporo czynników. Było wiele problemów ze zdrowiem, często do wygrywania spotkań brakowało kilku piłek i stykowe mecze uciekały. Wiadomo, że tenisista rośnie w siłę dzięki meczom, w których, jak nie idzie to mimo wszystko udaje się przechylić losy zwycięstwa na swoją korzyść a u Kamila z tym bywało różnie – mówią nam zarządzający Fan Clubem Kamila Majchrzaka na Facebooku.

Mimo wszystkich tych problemów i mimo tego, że wciąż było widać, jak dużo Kamil musi poprawić – wszyscy wiedzieli, że tkwi w nim wielki potencjał. W końcu nie bez powodu zyskał przydomek od nazwiska jednego z największych tenisistów świata.

Djoković

Polskim Djokoviciem nazwał go jako pierwszy Wojciech Fibak. Od tamtego czasu Kamil bardzo się jednak zmienił, stał się zawodnikiem, który przebudował swoją grę. Nie bazuje już tylko na defensywie i „zabieganiu” rywala, ale potrafi przejąć inicjatywę, zaatakować. Spytaliśmy więc Fibaka, czy to porównanie wciąż jest aktualne.

– Powiedziałem tak wtedy, bo te piętnaście lat temu Przysiężny był Federerem. Majchrzak przypominał za to Djokovicia, a Hurkacz – ze dwa lata temu – Murraya. Czy Kamil wciąż przypomina Novaka? Tak, ale to ten nowy Djoković. On też potrafi zaatakować. Dalej są podobni, bo i jeden, i drugi się rozwinęli. Wszystko się zgadza.

Djokovicia sam Majchrzak wymieniał często jako swojego idola. Podobnie jak Federera i... Davida Ferrera. O tym ostatnim mówił, że ceni go za waleczność i to, że na korcie po prostu nie da się go zniszczyć. Pokonać – tak. Zniszczyć – nie. A do słów Wojciecha Fibaka już cztery lata temu odnosił się na łamach portalu trójmiasto.sport.pl. I zrobił to tak:

– Chcąc nie chcąc swoim stylem gry go przypominam, oczywiście póki co w dużo gorszej wersji. Mam jednak nadzieję, że kiedyś przebiję Serba moją defensywą. Nie przeszkadza mi to porównanie, wręcz jestem dumny z tego, że ktoś taki jak Wojtek Fibak wypowiedział takie słowa. Nic tylko pracować, ale nie po to, żeby być „nowym Djokoviciem”, ale żeby stać się „tym Majchrzakiem”. W mojej grze też mam pierwiastki ofensywne, to nie jest tak, że cały czas stoję z tyłu i przebijam. Od czasu do czasu trzeba zaatakować, nie można tego unikać. Oczywiście jestem typem wytrzymałościowca, staram się być konsekwentny w tym, co robię, jak sobie coś narzucę, to swój plan realizuję. Staram się nie robić błędów i ciężko mnie wykończyć, ale lubię też zmienić rytm, trochę pokombinować. Jednak grę w ataku muszę bezwzględnie poprawić i to we wszystkich aspektach.

I faktycznie, momentami wyglądał tak, jakby ktoś pożyczył nieco DNA Serba i podarował je Kamilowi. Polak też dobrze się bronił, świetnie kontratakował i imponująco grał oburęcznych backhandem. Majchrzak jako swoje największe atuty wymieniał: cierpliwość, wspomnianą grę w kontrze i poruszanie się po korcie. Trenerzy dodawali za to, że – nawet w młodym wieku – Kamil imponował nastawieniem, mentalnością. Jeden z nich powiedział kiedyś, że gdyby kazał Majchrzakowi zrobić sto pompek i wyszedł na kawę, to i tak miałby pewność, że jego podopieczny zrobi je wszystkie. Co do jednej.

– Nad głową należy pracować cały czas. Trzeba znaleźć złoty środek, pozwalający zachować spokój. Czasami jednak trzeba się rozładować, gdyż nie można tłumić emocji. Każdy jest człowiekiem, nie ma ludzi-cyborgów. Nawet jak ktoś okazuje nerwy na zewnątrz, to jeszcze o niczym nie świadczy. Ważne, żeby był spokój wewnętrzny, i aby nie ulegać tremie – mówił Kamil magazynowi „Tenisklub” przed czterema laty. A na łamach Focus.pl dodawał: – Fizycznie nigdy nie jestem aż tak zmęczony, żeby nie móc grać. Chyba że mam kontuzję, jak na turnieju w Popradzie, gdzie po dwóch gemach musiałem zejść z kortu, bo nie byłem w stanie chodzić. Zwykle nie mam problemu z motywacją, nie wątpię w siebie. Wiadomo, że czasami jestem słabszy, czasami lepszy, ale w cięższej chwili należy zacisnąć zęby, grać dalej, natomiast dobrymi chwilami trzeba się cieszyć i nie spoczywać na laurach.

A skoro o tym mowa...

Charakter

Gdy Kamil zaczynał przygodę z seniorskim graniem, wciąż wysoko w rankingu był Jerzy Janowicz. Naturalne więc były porównania Majchrzaka do starszego kolegi po fachu. I to mimo tego, że obaj byli nie tylko kompletnie różnymi tenisistami, ale i osobami. Sam zainteresowany mówił, że pod względem gry on przypomina nieco obrońcę z piłki nożnej – jest cierpliwy, czeka na to, co zaproponuje rywal, lubi wyprowadzić kontrę – a Janowicz napastnika. Bo atakuje, napiera i wykorzystuje warunki fizyczne.

Inni też są, gdy chodzi o emocje. Kamil od samego początku zmagał się z nimi wewnątrz siebie. Nie łamał rakiet, rzadko krzyczał. Na sędziów się nie denerwował, gdy popełniali błędy. Nie było opcji, by usłyszeć od niego słynne „How many times?!”. Zresztą sami posłuchajcie, co mówił o postawie arbitrów po jednym z meczów Wrocław Open, gdy ci popełnili ważny błąd na jego niekorzyść:

– To może być zwykły błąd, nie ma ludzi nieomylnych. Ja to traktuję jako zwykłą pomyłkę. Bolesną pomyłkę. Natomiast na pewno nie będę z tego powodu zawistny. Fason trzeba trzymać zawsze; teraz jest lepiej, ale gdy byłem młodszy, to ciężko znośłem niektóre decyzje sędziów. W tej chwili też miewam z tym problem, ale zupełnie inaczej podchodzę do sprawy, bardziej na chłodno. Czasami jednak po prostu trzeba sędziemu zwrócić uwagę, że się pomylił – opowiadał na łamach portaltenisowy.info. Natomiast „Przeglądowi Sportowemu” po młodzieżowych igrzyskach w Nankinie mówił (wraz z Jankiem Zielińskim): – Powszechnie uważa się, że o wynikach na kortach nie decydują pojedyncze piłki, lecz... to jednak nieprawda. W tenisie niestety bywa inaczej. Mogliśmy wywalczyć trzecie złoto, ale w półfinale z Rosjanami sędziowie po prostu się pomylili. W kluczowym momencie, gdy ważyły się losy spotkania, źle ocenili sytuację. Nie czuli, co się dzieje na linii. Byli zdezorientowani, nawet siedzący na trybunach rodacy Rublewa głośno się z nich śmiali. Przegraliśmy po supertie-breaku. Szkoda, żałujemy, ale broń boże nie narzekamy. Po prostu tak wyszło.

Swoją drogą największy problem na linii Majchrzak – sędziowie sprawia... jego nazwisko. Wielu z nich po prostu nie potrafi go wymawiać, często kończy się to jakimś „majciakiem”. Poza tym raczej jest spokój. Różnie bywa za to z rywalami. Przed kilkoma laty w ćwierćfinale debla w szczecińskim challengerze, Majchrzak i Jan Zieliński grali z Rameezem Junaidem i Michaelem Venusem. Gdy byli o dwa gemy od zwycięstwa (a rywale byli zdecydowanymi faworytami), Venus i Junaid zaczęli ich przedrzeźniać i prowokować. Polacy mecz ostatecznie przegrali, wybuchła afera. Ale już niedługo po tym Majchrzak mówił, że „teraz się z tego śmieje”. Ot, taki już ma charakter.

Jeśli na coś narzekał, to... na zbyt dużą ambicję. Za młodu potrafił zawiesić sobie poprzeczkę za wysoko. Zrobił tak choćby w 2014 roku, gdy „Dziennikowi Bałtyckiemu” powiedział, że za trzy lata będzie w półfinale Szlema. Cóż, nieco nie trafił. Ale, jak sam podkreśla, z takich rzeczy wyciąga odpowiednie wnioski. I od dawna na pytanie o awans do TOP 100 odpowiada, że „z jednej strony bardzo by chciał, ale z drugiej musi podejść do tego na spokojnie i piąć się do tej setki krok po kroku”. Regularnie dodaje też, że dobrze wie, czego chce i po prostu musi na to zapracować.

Zresztą najlepiej o charakterze Majchrzaka świadczy to, że wśród ludzi, którzy go znają, nikt nie powie na niego złego słowa. Wszyscy podkreślają, że to świetny człowiek, ułożony tenisista i niesamowicie sympatyczny gość. Wojciech Fibak tylko to potwierdza:

– Zawsze mieliśmy bardzo dobry kontakt. Cieszę się z tego, że tacy tenisiści jak Michał Przysiężny, Łukasz Kubot, Hubert Hurkacz czy właśnie Kamil Majchrzak, z którymi mam świetny kontakt i są mi bliscy, wygrywają. To przyjemność z nimi korespondować i wymieniać uwagi. Kamil zasługuje na pochwały, bo taki jest. On w tym wszystkim jest prawdziwy, nie udaje, nie zgrywa się, zawsze jest dobrze wychowany, kulturalny. Ma też taką osobistą etykietę, higienę życia. Powiedziałbym, że dba o wszystko. [...] Czuje się od niego też taką skromność i wdzięczność.

Innymi słowy: sodówka mu nie grozi. Tym bardziej teraz, gdy na jego rozwoju czuwa Tomasz Iwański.

Trener

- Bardzo cenię Tomka Iwańskiego. Zawsze się lubiliśmy, doceniałem go. Wystawiałem go do gry w reprezentacji w Pucharze Davisa. Raz chyba nawet w singlu przeciwko Anglikom. Znamy się od dawna i uważam, że to jeden z takich wizjonerskich trenerów w naszym polskim tenisie. Ma zresztą doświadczenie międzynarodowe, bo prowadził Nadię Pietrową kiedy ona była jedną z najlepszych tenisistek świata. Cieszę się, że to on zajmuje się Kamilem – mówi nam Wojciech Fibak.

- Trener Iwański robi naprawdę kawał dobrej roboty. Oczywiście to jest zasługa całego teamu, który współpracuje z Kamilem, ponieważ dochodzi do tego trener od przygotowania fizycznego, psycholog oraz terapeuta. Tenisowo gra Kamila idzie bardzo do przodu. Nasz ulubieniec jest zdecydowanie bardziej agresywny, nie czeka na błędy rywala, tylko sam stara się prowadzić wymianę na swoich warunkach. Do tego dochodzi wielka poprawa na serwisie, co nie raz też było przyczyną tego, że nie udawało się wykańczać spotkań, bo serwis zamiast pomagać był przeszkodą. Według nas pod lepszą opiekę Kamil nie mógł trafić – dodaje z kolei Fan Club Kamila.

Z Iwańskim Majchrzak współpracować zaczął w połowie 2017 roku. I jak na razie Kamil wyłącznie ją sobie chwali. Zresztą już na wejściu nowy szkolenowiec sporo mu dał – jego kontakty pomogły załatwić zawodnikowi potrzebnych sponsorów, pomogły w rozwoju tenisowej kariery. Efekty pracy trenerskiej przyszły dopiero później, ale te też prezentowały się bardzo dobrze – choć w 2018 roku, z różnych powodów, zaliczyli sinusoidę. Zaczynali jednak w dużo bardziej nieciekawym położeniu. Trener Iwański mówił o tym „Przeglądowi Sportowemu”:

- Jestem konkretnym facetem. Spotkaliśmy się w trudnym dla Kamila momencie. Był w kiepskiej formie fizycznej i psychicznej, z rozmaitym serwisem i forhendem, praktycznie bez woleja i slajsa. Miał problemy z finansowaniem swoich startów, słuchał rad, by występować tylko na ziemi. Pewne elementy udało się skorygować i poprawić, ale w jego tenisie nadal panuje spory bałagan. Zaległości są ogromne. Choć oczywiście z drugiej strony olbrzymie są także rezerwy.



Wprost mówił jednak, że nie ma pojęcia, co właściwie z Kamila będzie. Z jednej strony wiedział, że Majchrzak wygrać może z niemal każdym, ale równocześnie porażki z tenisistą notowanym o sto czy dwieście pozycji niżej też by go nie zdziwiły. Takim Polak był wtedy tenisistą. Dopiero współpraca z Iwańskim pomogła mu się zmienić. Sam Kamil podkreśla też rolę Mieczysława Bogusławskiego, który przygotowuje go od strony fizycznej. Mówi, że to wszystko pozwala mu na harmonijny rozwój. Bo dzięki Iwańskiemu lepiej gra, a Bogusławski sprawił, że nabrał nieco mięśni i łatwiej wytrzymać mu trudy meczów (spotkania z Nishikorim – o którym za chwilę – w to nie mieszajmy).

– Myślę, że w Polsce to jedno z najlepszych, jeśli nie najlepsze połączenie zawodnika ze szkoleniowcem. Trener Iwański nie jest konserwatorem – zajmuje się przede wszystkim rozwijaniem elementów, gdzie tkwią rezerwy. To w nim najbardziej cenię, za to go najbardziej szanuję. Otworzył mi oczy na wiele spraw, także tych, na które zupełnie nie zwracałem uwagi. Czuję, że wzbogaca mój tenis o nowe schematy, akcje, krzyżówki. Na treningach wygląda to dużo lepiej niż kiedyś, w meczach jeszcze nie do końca, ale jeśli zdrowie pozwoli, to wszystko w turniejach kliknie i zaskoczy – mówił Kamil w „PS”.

I faktycznie, najnowsze wyniki wskazują na to, że działa to wszystko bardzo dobrze.

Przełom?

Wydaje się, że w tym sezonie wreszcie „kliknęło”. Kamil jest już w okolicach 130. miejsca w rankingu, ostatnio – wreszcie! – wygrał pierwszego Challengera w karierze. Pojawiło się to, czego wcześniej brakowało. Mówiąc najprościej: wykończenia meczów. Majchrzak potrafił znakomicie rozgrywać sety, ale gdy przychodziło do kluczowych punktów – nagle się zaciął. W sezonie takich spotkań miał nawet kilkanaście. Lekko licząc: kilkaset punktów do przodu w sezonie. I sporo pozycji.

– Muszę przede wszystkim zmienić siebie. Nie mam dwóch metrów, nie mam kończącego uderzenia wynikającego ze wzrostu i parametrów fizycznych. Żeby odnosić sukcesy, powinienem być przede wszystkim do bólu konsekwentny taktycznie. Nad tym muszę teraz pracować. Tylko żelazną dyscypliną można wygrywać mecze, w których do pewnego momentu mam przewagę i są w nich szanse na sukces. Ale chciałbym też dodać, że mój stan tenisowej świadomości po tym wszystkim, co przeszedłem, jest znacznie wyższy niż o tej samej porze niż rok temu. Nie uważam tego czasu za stracony. To była cenna lekcja – mówił niedawno Kamil na łamach „Przeglądu Sportowego”.

– Zmieniło się wiele pod tym względem. Wiadomo – nie zawsze te mecze na styku idą w stronę Kamila, ale na pewno występuje częściej zamykanie pojedynków w dwóch setach a to jest bardzo na plus. Mecze, w których dochodzi do trzeciego seta też wyglądają lepiej niż kiedyś. Kamil po przegranych meczach doskonale wie, czego mu zabrakło i potrafi szybko wyciągać wnioski a to również bardzo ważne. O tym, że nastąpiła wielka zmiana świadczy chyba porównanie miejsc w rankingu z poprzednim rokiem. W tamtym roku 9 kwietnia zajmował 229. miejsce, teraz jest 131.

W wielu wywiadach powtarzał też, że musi jeszcze bardziej prowadzić grę, próbuje zmienić swoje zachowanie na korcie. Choć dodawał, że to już nie kwestia tego, co trener może zdziałać. Decyzję musiał podjąć on sam, potrzebne było jego przekonanie. I widać było, że to zrobił, choćby we wspomnianym starciu z Nishikorim. Pierwsze dwa sety tam to popis Majchrzaka, genialna gra, z wiarą we własne umiejętności. Skończyło się jak się skończyło – kompletnym wyczerpaniem (jak twierdził trener, głównie psychicznym) i kreczem w piątej partii – ale Polak pokazał się szerszej publiczności i sporo udowodnił... samemu sobie. W wywiadach po spotkaniu dodawał jednak, że widzi jak sporo dzieli go od pierwszej dziesiątki – głównie, gdy chodzi o utrzymanie stabilnego poziomu gry. Czyli czegoś, co pokazał choćby Hubert Hurkacz. A skoro o Hubercie mowa...

Wojciech Fibak:

– To przebudzenie Kamila to na pewno wpływ Huberta Hurkacza. Mówiłem już wcześniej, że Hubert pociągnie za sobą Kamila, bo to dodaje odwagi, dodatkowej motywacji. Ze skoro jemu się udało, to dlaczego mnie się nie ma udać? Tak to często bywa i już te dwa miesiące temu mówiłem, że tak się stanie. I proszę, Kamil się przebija, wygrał turniej, odnosi sukcesy. Bardzo się cieszę, bo będziemy mieli za niedługo dwóch tenisistów w pierwszej setce.

Sam Kamil mówił, że z Hubertem nawzajem się motywują. I że wyniki, jakie Hurkacz ostatnio osiągał, są dla niego drogowskazem, w którą stronę powinien iść. Na ten moment wszystko wskazuje na to, że potrafi ten drogowskaz odczytać we właściwy sposób.

– Najważniejsze jest to, aby grał swój tenis, wtedy naprawdę stać go na wiele, co udowodnił już kilka razy. My działamy od roku 2015. Wtedy Kamil zajmował 250 miejsce i już wtedy mówiło się o kolejnych awansach i turniejach wielkoszlemowych a jak się okazało przyszło na to troszkę poczekać. Zalecamy trzymanie kciuków za zdrowie, bo według nas to bez wątpienia najważniejszy aspekt. Jeśli będzie zdrowie to możemy być spokojni o resztę – Fan Club Kamila Majchrzaka.

Kciuki więc trzymamy. I z ciekawością będziemy obserwować dalszą karierę Polaka. Bo może okazać się, że – po kilku latach przerwy – wreszcie zacznie grać na miarę swojego talentu.

SEBASTIAN WARZECHA

Fot. Newspix.pl